OPIEKUN DZIATWY

„Dozwólcie dziateczkom przyjść do Mnie"

№ 16 ‖ Na sobotę dnia 25 maja 1929 r. ‖ Rok III

Czy zwierzęta płaczą

— Ach, jaki śliczny, jaki śliczny, daj mi go na chwileczkę — wołała z zachwytem Zosia, biorąc z rąk starszego braciszka, Henia, malutkiego i w istocie bardzo ładnego wyżełka.

— Tylko nie ściskaj go tak mocno, — upominał Henio, — bo go zamęczysz, patrz, jaką ma smutną minkę.

— Dobrze, dobrze, nie zrobię mu przecież krzywdy, mogę go nawet puścić na ziemię.

I Zosia ostrożnie postawiła szczeniaka na podłodze.

Maleństwo podniosło w górę mordeczkę i poczęło piszczeć żałośnie.

— Tęskni do swojej mamy — rzekła Zosia, głaszcząc ze współczuciem wyżełka.

— E, on się prędko przyzwyczai do nas i zapomni, — odparł Henio — lecz nie masz pojęcia, jak mi żal było Normy, jego matki. Gdy tylko przyszedłem do pana Płoskiego, by stosownie do jego zlecenia wybrać sobie pieska, którego obiecał tatusiowi, Norma poczęła się niepokoić i z trwogą spoglądała mi pytająco w oczy.

Obawa jej zwiększyła się jeszcze więcej, gdy zobaczyła, że pokolei biorę do rąk każde z jej szczeniąt i pilnie im się przyglądam.

Zaczęła wyć z cicha i lizać mnie po rękach, jakby mnie o co prosiła.

Zrobiło mi się przykro i postanowiłem prędzej skończyć. Bez namysłu więc wziąłem pieska, którego widzisz i zwróciłem się ku drzwiom. Wtedy Norma jednym susem wybiegła z pokoju,

a po chwili wróciła, niosąc w pysku pięknie oprawną książkę, którą złożyła u nóg moich. Biedactwo najwyraźniej chciało mi powiedzieć:

— Oto masz piękną książkę, a oddaj mi moje dziecko.

Uciekłem prawie, a gdym się raz jeszcze odwrócił, serce mi się ścisnęło boleśnie. Biedna wyżlica stała ze zwieszonym ogonem i spoglądała ku mnie z niewymownym żalem, a ze smutnych jej oczu, łzy spływały.

Zosia z przejęciem słuchała opowiadania brata; ostatnie jednak jego słowa przyjęła nieufnie.

— E, Heniu, chyba ci się zdawało, przecież zwierzęta nie płaczą!

— Mylisz się moje dziecko, — odparł pracujący przy swem biurku ojciec, który od chwil paru przysłuchiwał się rozmowie dzieci. — Mylisz się, sądząc, że łzy są tylko własnością ludzi. I zwierzęta płaczą, zauważono to już niejednokrotnie. Ja sam kiedyś z tego powodu ku ziemi opuściłem wycelowaną lufę mojej strzelby. Strzelać miałem do sarny, która wyszła na mnie i stanęła zaledwie o parę kroków. Gdy spostrzegła człowieka i broń ku sobie wymierzoną, straciła widać przytomność, bo zupełnie nie uciekała, utkwiła tylko we mnie swoje śliczne przepełnione łzami oczy, jakby mnie błagała o życie, i to ją ocaliło. Nie miałem odwagi zabić bezbronnego i płaczącego stworzenia. Czytałem też w jednem z pism naukowych, notatki uczonego podróżnika, który opisywał wzruszającą scenę, jakiej był świadkiem, polując w Afryce na słonie. Zabito słonia — matkę. Naraz do trupa przybiegło kilkomiesięczne słoniątko i z wyrazem bezmiernej rozpaczy biegało naokoło starej, pragnąc dziecinną swą trąbką unieść ją w górę. Widząc wreszcie bezskuteczność swych usiłowań, stanęło bezradnie i zaczęło płakać. Nikt z obecnych nie mógł opanować wzruszenia na widok tej boleści przejmującej.

Widziano też płaczące niedźwiedzie i inne zwierzęta, a już co do psów, to chyba rzadko kto nie zauważył łez w ich poczciwych, wiernych oczach.

Nieraz nawet drobnostka im łzy wyciska, tak są wrażliwe

— A ja nie wiedziałam i nawet nie przypuszczałam, żeby zwierzęta mogły płakać — rzekła zdziwiona i zadumana Zosia.

Książę żelazny.

Dokończenie

— Książę, ty jesteś wielki, ale Bóg jest większy, nie możemy usłuchać twojego rozkazu.

— Więc i Boga zwyciężę! — zawołał książę. Kazał tedy, pychą i zapamiętałością bluźnierczą wiedziony, zbudować kosztowny okręt napowietrzny, żeby się w nim aż do nieba przeprawić. Okręt był błyszczący jak pawi ogon, cały nasadzony połyskującemi oczyma — a każde oko było otworem lufy armatniej. Książę siedział u steru i potrzebował jeno nacisnąć sprężynę, aby kul tysiące gruchnęło na wszystkie strony, podczas gdy równocześnie wszystkie lufy na nowo były nabite.

Tysiące orłów ciągnęło okręt, leciał też chyżością strzały ku słońcu.

Hej, jaka ta ziemia mała na dole! Góry i lasy zdawały się jedną zoraną rolą wkrótce obłoki przesłoniły ją zupełnie.

Coraz wyżej leciały orły, w górę ku niebu. Wtedy Bóg zesłał jednego z niezliczonych aniołów swoich. Książę żelazny zionął na niego tysiącem kul, ale te odbiły się, jak grad od śnieżystych skrzydeł anioła. Jedna kropla krwi, jedyna padła z piór białych, na wojenny statek księcia, przebiła go na wylot, zaciężyła jakby tysiącem centnarów i rwała okręt szalonym pędem w dół; połamały się skrzydła orłów, wicher wył około głowy książęcej, a chmury utworzone z dymu pogorzelisk goniły zanim w groźnych strasznych postaciach. Potwory jakieś wyciągały za nim szpony, to znów skały miotające odłamy miażdżące, albo smoki ziejące ogniem.

Pół żywy leciał książę na pokładzie okrętu, który wreszcie z okropnym impetem spadł i uwiązł w ogromnych konarach stuletniego lasu.

— Zwyciężę Boga! — rzekł książę. — Powiedziałem i wola moja wykonać się musi.

Kazał więc teraz przez lat dwadzieścia, budować sztuczne okręty npaowietrzne, kazał kuć groty z najhartowniejszych stali. Ze wszechziem swoich zgromadził wojsko, niezliczone jak piasek, w morzu. Wojsko zajęło okręty: książę miał właśnie wsiadać do swojego, gdy w tem zesłał Bóg rój komarów. Ten obsiadł twarz księcia i ręce; wściekły dobył miecza opędzał się nim, machając wokoło; przecinał jednak tylko powietrze samo, a komary ścięły go bezkarnie.

Kazał tedy służbie, aby go owinięto w grube kosztowne dywany, w któreby się komary wścisnąć nie mogły i stało się jak rozkazał. Mimo to, jeden jedyny komar zakradł się w zwoję dywanów, wlazł w ucho księcia i palił jak ogniem. Jad doszedł aż do mózgu. Wściekły, oszalały z bólu zerwał z siebie osłonę, odrzucił daleko, poszarpał odzienie na szmaty i nagi rzucał i ciskał w obecności swoich żołdaków, co się teraz z szalonego swego księcia naigrywać poczęli... że upadł!

Tak Boga chcąc pokonać, zginął od komara.

Kochane Dziateczki!

Niedawno czytaliście w Opiekunie o Powszechnej Wystawie Krajowej w Poznaniu. Wystawa ta została otwarta przez P. Prezydenta Rzeczypospolitej w dniu 16-tego maja br.

Chcąc Wam Kochane Dziatki, opisać całą Wystawę, wyjechał do Poznania „Opiekun“ a to dlatego, by opis mógł być szczegółowy.

Opis całej wystawy zajmie dość dużo miejsca, dlatego podawany będzie co tydzień.

Pierwszy opis ukaże się w przyszłym numerze „Opiekuna Dziatwy“.

Liściki od Dzieci.

Dąbrówka, dnia 14. maja 1929 r

Kochany Opiekunie!

Piszę poraz piąty do K. O. Obecnie zamieszkuję w Dąbrówce pow. Brodnica. Na wiosce mi się lepiej podoba jak w mieście. Na wsi jest dużo pracy, ale zato weselej, bo lepiej pracować i bawić się po polu niż po miejskim bruku sobie trzewiki niszczyć.

Wioska nasza należy do parafji Nieżywięć. Nieżywięć jestto duża i ładna wioska podobna do miasteczka. Kościół jest bardzo stary, ale w nim bardzo pięknie. Proboszczem jest zacny ks. Fischoeder. Szkoły mamy dwie w jednej są dwie klasy a w drugiej także dwie. Kierownikiem szkoły jest p. Bejer. Jest także p. nauczyciel Schmidt i nauczycielki panie Gesyngówna i Kobylińska. Wszyscy są bardzo dobrzy dla nas.

Uroczystość 3-go maja obchodziliśmy bardzo uroczyście. W pochodzie brały udział szkoły, Tow. Młodzieży, Tow. Pow. i Wojaków oraz bardzo dużo ludzi.

Zacny ks. prob. wygłosił bardzo piękną przemowę. Po pochodzie odbyły się różne zabawy.

Kończąc mój liścik pozdrawiam K. O. i wszystkich czytelników, życząc zarazem „Wesołych Świąt“.

Wiktor Czeczka